

# 1

Wskutek ciągu nieszczęśliwych zdarzeń Elina musiała każdego roku przed upływem osiemnastego czerwca wyłowić ze stawu szczupaka.

Stawką było jej życie.

Wyruszała w drogę czternastego czerwca, kiedy na Północy wody po roztopach już na pewno opadły i do stawu można było dotrzeć w gumiakach. Wyjeżdżała rano i jechała cały dzień. Im dłużej, tym mniej przy drodze było miast, stacji benzynowych, wsi. Karłały drzewa. Wreszcie kończyły się nawet wsie. Zostawał tylko las.

Niekiedy zza zakrętu wytaczał się chwiejnie taki czy inny wóz. Wtedy zwalniała. Kierowcy pokazywali jej na migi, że ma natychmiast zawrócić.

Mijała stojącą na poboczu tablicę: „Za 40 kilometrów przestają działać sieci teleinformatyczne”.



Elina dojechała do wykarczowanego, może pięćdziesięciometrowego pasa granicznego. Pośrodku stała przycupnięta biała budczyna. Przejazd zagradzał opuszczony szlaban. Samochód Eliny dokulał się do niego i znieruchomiał.

Z otwartego okienka budki wystawał wsparty na łokciach znudzony pogranicznik w szarym mundurze. Pod pachami miał ciemne plamy potu. Na stole pod okienkiem buczał wentylator. Elina opuściła szybę, pozdrowiła strażnika. Ten od razu zaczął zwyczajową litanię. Państwo fińskie nie zaleca kontynuowania podróży. W razie gdyby podróżująca mimo to zdecydowała się jechać dalej, wszystkie jej polisy ubezpieczeniowe przestaną obowiązywać i będzie zdana wyłącznie na siebie.

– Ja stamtąd pochodzę – powiedziała Elina.

Pogranicznik wyciągnął rękę, podała mu dokument, obejrzał go. Zerknął na nią, potem znów na plastik. Oddał go i stwierdził, że faktycznie, już ją kiedyś widział.

– Jo – zgodziła się Elina.

– Cholernie gorąco – zagaił. Obrócił się, spojrział na termometr na ścianie i prawie wykrzyknął: – Dwadzieścia osiem w cieniu!

– Oho.

– Nigdy nie idź do roboty w budżetówce – powiedział.

– Okej.

– No, szerokości.

Podniósł szlaban, Elina machnęła mu ręką i ruszyła. Za pasem granicznym po obu stronach szosy powróciły lasy. Droga była pusta. Elina wcisnęła gaz.

Bolała ją złamany podczas walki prawy paluch.

Za kołem podbiegunowym zaczęła spoglądać w lustro wsteczne i bacznie lustrować pobocza. Gdy tylko dostrzegała gdzieś ciemniejszy kształt, zwalniała i nie przyspieszała, dopóki nie nabierała pewności, że to karcz lub korzeń. Włączyła radio. Na wszystkich kanałach mówili o rekordowych upałach, pożarach i powodziach.

Od czasu do czasu stawała na przydrożnym parkingu przodem do lasu i zamykała oczy. Wyobrażała sobie, że ma przed sobą dwie belki, które podnoszą się i opadają w rytm oddechu. Podnoszą się i opadają.

Z każdym kolejnym parkingiem przybywało komarów.

Minęła Cypel, nawet nie zerknąwszy na rzekę w dole. Wieś kościelna zmaterializowała się w środku lasu jak sen. Rozmyła się jak sen. Elina dotarła do Vuopio o dziesiątej wieczorem. Słońce stało jeszcze wysoko, barwiąc świat na wymęczoną żółć starej gazety. Elina skręciła w prawo na most i powoli przejechała na drugą stronę. Szeroka rzeka lśniła w złotych promieniach. Za mostem Elina skręciła w lewo i drogą wzdłuż rzeki pojechała w stronę rodzinnego domu.

Przed ostatnim zakrętem po lewej stało gospodarstwo Aska i Efraima, dalej chatka Sowy. Okna były ciemne. Elina dojechała do krańca ostatniej prostej. Stała tam tablica: „Koniec drogi”. Zjechała w opłotki. Obejście Ylijaako tworzyły cztery budynki: sauna, rodzinna chałupa ojca, zwana „starą połową”, oraz nowy dom i obora. Po obu stronach podjazdu rosły wysokie osiki. Elina zaparkowała pod oborą i wysiadła z auta. Usłyszała komary, pijackie trele drożdżika i monotonne marudzenie znudzonego życiem jera.

Sosna na skarpie stała między sauną a oborą niczym wieża strażnicza na granicy dwóch światów: suchej ziemi i bagna; wieżyca pochylona nad mokradłem, które leżało u podnóża skarpy wilgotne i ciepłe.



Rano Elinę obudził hałas. Wstała z łóżka, wyrzała za okno i zobaczyła kukułkę. Ptak siedział na osice

i kukał, odmierzając czas żyjącym. Elina nigdy nie widziała jej z tak bliska. Ledwo podeszła do okna, kukułka ucichła i zaraz odfrunęła. Dziewczyna spojrzała na puste drzewo i pomyślała o czekającym ją tego dnia zadaniu, o wyłowieniu szczupaka.

Spała w swoim starym pokoju. Miała w nim łóżko, półkę z książkami, biurko i krzesło. Nic więcej. Resztę domu oddała Sowie.

Usiadła na krawędzi posłania. Przejechała dłonią po kłujących włosach, przystrzyżonych maszynką ustawioną na trzy milimetry. Golenie głowy było częścią rytuału.

Wyprostowała prawą nogę i przyjrzała się paluchowi, czarnemu i spuchniętemu. Wyglądał gorzej niż bolał. Musiała coś z nim zrobić.

Pokuśtykała do sieni. Z lewej miała duży pokój, w którym Sowa przymocował do ścian mapy zasięgu występowania różnych gatunków ptaków i tras ich migracji oraz tabelki i szkice kaczych łąp. Skierowała się na prawo, do kuchni. Wzięła z zamrażarki stary numer „Ludu Laponii”, udarła z niego pasek i przewiązała nim paluch razem z sąsiadującym zdrowym palcem. Znalazionymi w szafie nożyczkami ucięła kawałek srebrnej taśmy klejącej, zwinęła papier ciaśniej i końcówkę przekleiła taśmą. Wyszedł solidny pakunek.

Odłożyła nożyczki do szafki. Na drzwiach mebla wisiała mapka topograficzna, na której Sowa krzyżykami pozaczał ołówkiem miejsca, gdzie ostatnio natknął się na chyłki.

Elina nastawiła ekspres z kawą, otworzyła boczne okienko i wyjrzała na dwór. Wieczorem nic nie zjadła, ale to było normalne. Apetyt traciła zawsze w pierwszej kolejności. Na podwórzu hałasowały te same ptaki,

co piętnaście lat temu. Kwiczoły, pliszki, jaskółki. Wyglądały na te same, ale nimi nie były. Pełno ich widziało się teraz na podwórzu, na drzewach i budynkach. Gdy patrzyło się przez okno, myśląc wyłącznie o ptakach, dostrzegało się je wszędzie. Jaskółki wpadały w okienka na wyżce obórki jak odrzutowce. Kwiczoły skakały obunóż. Niekiedy zamierały i aż trzeba było oczy przymrużyć, by stwierdzić, czy to grudka ziemi, czy jednak ptak.

Elina upiła łyk kawy i poczuła się jak pusta łamliwa skorupa. Ojciec siedział kiedyś w tym samym miejscu i rozwiązywał krzyżówkę, gdy usłyszał skrobanie pazurów o podłogę. Zerknął pod stół i zobaczył łasicę. Patrzyła mu prosto w oczy, jakby to ona była prawowitą właścicielką ich domu. „Ze też wie taka bestia, gdzie człowiek ma ocy”, zdziwił się ojciec.

Na pogrzebie matki spytała go, czemu dom postawili na samym skraju bagna. Odpowiedział, że jego przodkowie mieszkali tu od zawsze, a i matka szczególnie sobie to miejsce upodobała. Przed zamążpójściem dokładnie zbadała całą okolicę. Sporządziła mapę i zaznaczyła na niej lokalizację ich przyszłego domu – nowego domu w Ylijaako – tak dokładnie na linii wschód-zachód, że leżał na Laponii niczym poziomica. Powiedziała, że budynek dopełni całości, której pozostałe elementy zostały już im dane z krajobrazem. Rzeka, lasy i wzgórze. Ojciec długo mierzył matkę wzrokiem. Drobną kobietę o krótkich, czarnych jak węgiel włosach i małych, równie czarnych oczach, które nigdy nie odbijały światła.

– Jo – rzekł w końcu. – Niechby i tak.

Budowali razem. Wyszedł im długi, parterowy dom. Zupełnie nie taki, jak inne domy we wsi, które miały obszerną świetlicę z piecem chlebowym. Ten dom nie

miał świetlicy w ogóle. Mała kuchnia, gdzie przy stole siedziała teraz Elina, stanowiła część biegnącej na przetrzał sieni, którą od zachodu wieńczył duży pokój, a od wschodu kotłownia.

– Jakby miał takom sterówke i maszynownie – wyjaśnił raz ojciec małej Elinie. – Zbudowalimy dla cie statek kosmiczny.

Nocami Elina nie spała, tylko leżąc w łóżku, wsłuchiwała się w dudnienie wibrujące w ścianach i dachu. Wyobrażała sobie, że to odgłos silników jej statku kosmicznego, który przedziera się przez ciemności. Tak naprawdę hałasowały myszy buszujące w pustych ścianach. Dziesięć lat starczyło, by wyżarły niemal całą izolację, więc zimą ojciec targał do kotłowni szczapy, naręcze za naręczem, od rana do wieczora.

Latem myszy się truło i odławiało łapkami. Raz ojciec przygotował zasadzkę. Na mysim szlaku wygrzebał w ziemi dziurę i wstawił do niej słoik po kiszonych ogórkach zalany do połowy wodą. Myszy wpadały do niego i tonęły. Rano matka wybierała truchła ze słoika i z łapek, po czym ciskała je na gruzłowate bary ziemianki, w wierzbówki i krzewy malin.

Potem Elina z rodzicami siedzieli w saunie i przez okienko patrzyli w szarzejący zmierzch, na włochatki i sowy jarzębate, które nadlatywały zza poletka łowieckiego i siadały na okrągłym dachu ziemianki.



Wspomnienia wszystkiego, co zrobiła, zwały się na nią nagle jak lawina.

Ptaki ucichły.

Zegar przestał bić.

Poczucie winy wyciskało jej powietrze z płuc z tak dobrze znaną, jednostajną siłą. *Pbbbbbb*.

Oparła czoło o stół. Kilka razy walnęła nim w blat.

– Gównno – zakłęła. – Co-za-gów-no.

Wyprostowała się.

– No nie. Ino znów nie zacynaj.

Wstała i zaczęła chodzić po kuchni. Uniosła dłonie i trzymając je przed sobą, strzepnęła palce, jakby poraził ją prąd.

Usiadła na podłodze. Wychyliła się w bok, legła. Próbowwała przyjąć pozycję embrionalną. Nic lepiej. Podniosła się. Pokuśtykała do dużego pokoju. Wyjrzała na dwór przez okna i wróciła do kuchni. Pokręciła głową.

– Gównno. Gówniane gównno.

Chwyciła leżący na stole ołówek i zaczęła się zastanawiać, czy może go złamać. Odłożyła z powrotem na blat. Obiecała Sowie, że nie będzie już niczego niszczyć. Oparła czoło o drzwi lodówki. Poczwała chłód. Odchyliła głowę i walnęła nią o metal tak mocno, że brzęknęły słoiki w środku.

– Ała – jęknęła, chwytając się za czoło. – Cholerny świat, gówniane gównno.

Roześmiała się i pokuśtykała do lustra.

– Ty chyba strasznie głodna jesteś – powiedziała do siebie. – Zrób ty se coś do jedzenia.

Ugotowała owsiankę i jadła ją powoli, jakby szufłowała węgiel do pieca. Potem wróciła do swojego pokoju i przebrała się w grube bojówki. Powąchała koszulkę, w której wczoraj przyjechała. Nadal śmierdziała dymem. Cisnęła ją do kosza z brudami, w szafie znalazła drugą, starą i luźną, z szarej bawełny. Poszła do magazynku przy kuchni i maścią na komary natarła sobie twarz, kark i ręce.

W kotłowni znalazła swoje gumiaki, włożyła je, wzięła z haczyka czapkę z daszkiem, otworzyła drzwi i wyszła z domu.